

Kat

Topór

Oks, cały we krwi, wybiegł ze swojego uporządkowanego warsztatu na Plac Kary. Niczym fala uderzyły w niego krzyki skazańców, zapach śmierci i błyski toporów pracujących katów. Plac był szeroki, wypełniony piaskiem, w który wsiąkała buntownicza krew.

— Gdzie to jest do jasnej cholery?! — Rozglądał się pilnie w poszukiwaniu malmagicznego dłuta, bez którego nie mógł łamać magicznych kości. — Ki pies to zjadł?

Stojący obok kilkuletni chłopiec, ubrany w krótkie spodenki, wskazał na miejsce pod podestem.

Oks fuknął przez nos, sięgnął po narzędzie, po czym podniósł z marszu wielki, czarny młot i podszedł do leżącego olbrzyma, gadalskiego rebelianta o złamanym karku, którego głowa zwisała bezwładnie przez pniak. Oks przyłożył znalezione dłuto do odsłoniętego kręgosłupa i mocnym uderzeniem młota w dłuto skruszył kości. Olbrzym wciąż żył.

Oks zachnął się, chwycił za topór i potężnym machnięciem przeciął szyję do końca. Głowa olbrzyma potoczyła się po drewnianej pochylni i dołączyła do stosu z głów poprzedników.

Kat wsparł się o topór i rozejrzał się uspokajając oddech. Dzień Wyroku dobiegał końca. To był ostatni rebeliant z jego wozu. Spojrzał w bok, pozostali kaci specjalnie wykonywali wyrok powoli. Widział jak udają, że strasznie im przykro, że zamiast głowy odcięli najpierw nos, a potem ucho.

Gdy tylko odwrócił się w tą stronę, żarty ucichły, a kaci pracowali precyzyjnie. Oks nie był magiem, by dokonać takich rzeczy siłą woli, po prostu, mimo że był już stary, również był wyższy od nich o dwie głowy, cztery razy silniejszy i nie cierpiał, gdy ktoś znęcał się nad skazanymi.

Szarówka otulała powoli Karno, stolicę Wszechimperium. Po zakończonej pracy Oks spieszył się, by wrócić do domu przed nocą, dlatego postąpił nierozsądnie i skręcił w wąską uliczkę. Kilka chwil później coś rozbiło się na jego głowie. Drobnym kolorowym pyłem natychmiast wdarł się w jego nozdrza. Zachwiał się. Poczuł silne ukłucie w plecy, po czym stracił panowanie nad nogami i ręką. Upadł na kolana.

— Przyszedł kat do kata, kacie — zaśmiał się głos za jego plecami z nutą gadalskiego akcentu. Oks poczuł ostrze na swojej szyi. — Wyrok, to wyrok. Rozumiesz.

Gdy zabrano stał, Oks drgnął, lecz nie mógł nic więcej. Usłyszał świst i czarny topór upadł tuż obok jego nóg, odbijając się głośnie od bruku.

— Dosyć! — krzyknął ktoś.

Oks nie mógł zlokalizować tego głosu. Był silny.

— Poszli stąd!

Usłyszał tupot oddalających się kroków. Stanęła przed nim dziewczyna. Klęczał, a dziewczyna, mimo że była wyprostowana, nie była od niego wyższa. Chwyła obiema dłońmi jego twarz.

— Cały?

Kiwnął głową, na tyle na ile mógł.

— Uwolnię cię — rzekła dziewczyna i zniknęła za jego plecami.

Poczuł w plecach ból, jakby ktoś łamał mu kręgosłup. Świat zawirował. Wsparł się na rękę.

Dziewczyna znów pojawiła się przed nim.

— Dla takiego byka jak ty, to na pewno zwykła igraszka. — Trzymała w rękach zakrwawiony szpikulec, długi jak jego dłoń.

— yhmm

Gdy łapał oddech, przyglądała mu się zaskoczona.

— Nic nie powiesz? — zapytała chowając szpikulec za pas.

Oks wstał. Zobaczył jak dziewczyna przed nim była drobna. Mogła być dzieckiem. Może była? Jej blond włosy mocno wyróżniały się na szarym tle ulicy.

— Daj rękę — rzekł. — Zaraz tu będą.

Dziewczyna cofnęła się o krok, po czym, gdy mrugnął już jej nie było. Zza rogu wybiegli strażnicy. Oks, bez słowa, skierował się w kierunku domu.

Po kilkunastu minutach szybkiego marszu pomiędzy wysokimi kamienicami, Oks był zlany potem, rana w plecach bolała przy każdym kroku. Spojrzał na rękę. Drżały coraz bardziej, mimo że mocno próbował unikać ognia i ulicznych latarni.

Wreszcie dotarł do Lasu Szlachetnych. Pomędzy potężnymi drzewami rozsiadane były tu wille najzamożniejszych oraz jego równie szlachetna chata-willa. Drewniany budynek miał dwa piętra i wszystkie drogie sprzęty, Oks wołał, jednak mieszkać na tarasie z drugiej strony domu, gdzie po chwili opadł w wiklinowym fotelu.

Znużone słoneczniki powitały go przyjaźnie. Zamknął oczy i wsłuchiwał się w nastrojowe granie pasikoników.

Zdążył.

— Wyglądasz okropnie. — Oks poderwał się zaskoczony i natychmiast uderzył. Pisk. Była już późna noc i jego słoneczniki spały już w ogrodzie. Przed nim z latarnią w dłoni leżała powalona dziewczyna. Trzymała w dłoni wywróconą latarnię, której płomyk lizał metalową pokrywkę.

— Zgaś to! — warknął Oks.

Dziewczyna powoli odłożyła latarnię, lecz gdy on wciąż patrzył złowrogo, silnym dmuchnięciem zgasła płomyk. Przez chwilę stali w zimnym świetle gwiazd, lecz potem otuliło ich światło dobiegające z grzybów posadzonych niedbale w każdym zakątku tarasu.

Dziewczyna rozejrzała się zachwycona.

— Kim jesteś? — Oks zbliżył się groźnie.

Spojrzała na niego natychmiast.

— Nie pamiętasz? Jestem Gema. Ocaliłam ci dzisiaj ten spięty tyłek.

Oks przyjrzał się jej uważnie. Krótkie blond włosy, niska, w białej koszuli i spodniach. Na szyi nosiła medalik w kształcie połówki koniczyny. Uzbrojona w metalmagiczny szpikulec i zapewne w sztylet na łydce. Niezłe ziółko. Coś mu świtało w głowie.

— Czego chcesz? — Oks odwrócił się i podszedł do wypełnionej wodą wanny, gdzie w słabym świetle widoczne były lilie. Zanurzył głowę i wyciągnął ją po chwili parszcząc głośno.

— Z tego wszystkiego co się stało, zapomniałam Ci podziękować.

Oks przechylił głowę pytająco. Woda kapiała z jego brody.

— Za dobrą robotę. Widziałam, że jak zawsze nie odpuszczasz.

— Dziękujesz mi, za dobre odrąbywanie głowy ludziom?

— Za profesjonalne odrąbanie głowy Betowi. Ten wielkolud na końcu. Zwykły kat, by go zostawił.

Oks pokiwał głową ze zrozumieniem. Zrzucił z siebie śmierdzący strój kata. W samych spodniach i koszuli sięgnął po słoik wypełniony świeącymi grzybami. Podał go Gemie.

— Dar od kata, dla wnerwiających gadalian.

Gema dotknęła słoik, lecz nie chwyciła go.

— Ty, też nas nienawidzisz?

— Za wasza głupotę. — Oks odstawił słoik. Zdjął z siebie koszulę, rzucił ją w kąt, po czym z nagim torsem, oświetlając sobie drogę słoikiem, przeszedł na drugi koniec tarasu, gdzie stała szafa. Otworzył ją ze zgrzytem i wyciągnął nową koszulę.

— Dżentelmen bez ani krzty skrzepowania. — Gema podeszła do niego.

— Ile was jeszcze muszę ukatrupić, by dotarło do waszych zgniłych łbów, że nie walczy się zbrojnie z Wszechimperatorem? — spytał Oks

— O to chodzi.

— Tak. Mam gdzieś, że jesteście Skazani przez Los, czy macie krzywe nosy. Wy sami się dajecie mordować, akurat wtedy, gdy mógłbym rzucić wreszcie tą robotę.

Oks minął ją i wrócił do wanny, gdzie sięgnął głęboko ręką i wyciągnął dwie zielone butelki. Szybkim ruchem ręki otworzył jedną z nich i oparł się o balustradę tarasu, owiniętą przez kolejne zielsko.

— Chcesz?

Gema podeszła.

— Już myślałam, że nie spytasz — rzekła i chwyciła drugą butelkę. Otworzyła ją za pomocą zakrwawionego kolca. — Zdrowie!

Pili przez chwilę w milczeniu.

— Masz dobry humor, jak na dzień, w którym ukatrupiłem ci przyjaciela — stwierdził Oks.

Gema spojrzała przed siebie.

— To nie był mój przyjaciel. Był najbardziej zgniłą głową ze wszystkich.

— I tak znów nie wyszło. Lepiej nie próbujcie więcej.

— Nie martw się. — Gema dopiła piwo, gdy Oks był jeszcze w połowie. — Już nie będzie wyżynania Gadalian. Zginie niewielu, by żyło wielu.

Oks natychmiast posłał jej rozczarowane spojrzenie.
— Nie chcę do końca życia ścinać wam głów.
— Tym razem, w bardzo rozsądny sposób — wyjaśniła szybko, odstawiając butelkę na balustradzie. — Oby nie do zobaczenia, Oks.
Przeskoczyła przez balustradę i zniknęła w ciemnościach.
— Nie róbcie już nic głupiego! — wrzasnął Oks. — Skończcie z tym powstańczym szaleństwem!
Odwrócił się, chwycił za słoik i roztrzaskał go o podłogę.
— Niech to szlag — zaklął, po czym w słabym świetle grzybów dojrzał drobny metal. Połówkę koniczyny.

Świst

Od pół roku Oks wciąż próbował porozmawiać z Gemą, jednak dziewczyna nie chciała nawiązać kontaktu. Postanowił, więc ją porwać. Akcja nie powiodła się, lecz złapał jednego z jej przybocznych o imieniu Ter, którego pozbawił przytomności i w worze zabrał do domu.

— Moim hobby są trucizny — wyjaśnił Oks przywiązanemu do krzesła Terowi i zerwał fioletowy kwiat w ogrodzie przed tarasem. — Wbrew pozorom, trzeba się dobrze natrudzić, by pozbawić kogoś oddechu lub zatrzymać serce. Nasze ciała walczą. — Po chwili miał w ręku całe naręcze kwiatów, łodyg i liści. Wrócił z nimi na taras. — Co, jednak wtedy, kiedy ktoś się nieznacznie pomyli?

Ter zmrużył oczy, lecz nie odpowiedział.

— Nie wiesz? — Oks był szczerze zdziwiony. Usiadł obok, wsadził rośliny do kamiennej misy i zaczął je rozcierać obłym kamieniem. — Myślałem, że domyślisz się groźby. Wtedy ból trwa straszliwie długo, a ciało zawieszone jest pomiędzy życiem a śmiercią; czasem kończąc jak roślina, która może tylko mrugać oczami.

— Oks, nic Ci nie powiem. Zostaw nas w spokoju. Jeśli nasz plan wypali już nigdy nas nie zobaczysz — rzekł Ter spokojnie.

— Od trzystu lat gadacie to samo.

Oks odłożył misę i przelał jej zawartość do dwóch mniejszych pojemników. Do jednego z nich dodał kilka czerwonych kropli, po czym zabrał ze stołu lejek o ostrym zakończeniu i wbił go w przedramię więźnia.

— Zobacz, proszę, na moje mikstury — rzekł Oks przyjacielsko. — Ta po lewej to trucizna, po prawej odtrutka.

— Blefujesz.

Oks tylko uniósł brwi i prawą, wolną ręką, za pomocą skraplacza nabrał trochę trucizny i wlał dwie krople do lejka, a trucizna szybko spłynęła do rany.

— To dawka ciężkiego bólu.

Ter nie zareagował, choć po chwili sprawiał wrażenie, że siedzi mu się niewygodnie.

— Kolejna kropla, to ból niemiłosierny. — Oks wlał kolejną kroplę do lejka. Chwilę później mężczyzna zacisnął zęby.

— Chciałbyś coś powiedzieć? — spytał Oks — Nie? To na pewno ucieszy cię wiadomość, że kolejna kropla, do bólu dodaje powolny paraliż nóg i swędzenie ciała.

Kropla trafiła do lejka. Ter wygiął się mocno i poczerwieniał na twarzy. Oks wyciągnął kropłomierz nad lejek.

— Jak się domyślasz, kolejna kropla oznacza powolną śmierć. Tak z dwadzieścia lat przykucia do łóżka, zanim udusi cię ktoś z własnej rodziny.

Ter walcząc z bólem ciała przechylił się z wielkim wysiłkiem do przodu i wycharczał: Dwie krople.

— Dwie krople? — zdziwił się Oks — Zabiłyby cię na miejscu.

Mężczyzna, wyraźnie pokonując kolejny próg bólu, znów wysapał: spadły ci dwie krople... przed chwilą... Kanały Harpi, jutro w południe...

Oks spojrzał na kropłomierz i natychmiast pobladł. Trucizny było mniej. Opróżnił kropłomierz i złapał za miskę z odtrutką, tak niezdarnie, że wylał prawie całą zawartość.

Ter zawył przerażony. Oks całą resztkę odtrutki wlał do lejka w momencie, gdy mężczyzna stracił oddech.

— Niech to szlag!

Kroki Szczurołapa powoli oddalały się. Oks pozostał bez przewodnika i samotnie, mocno skulony, ruszył przez niski ściek, brodząc w szlamie po kostki. Doceniał agresywny smród. Przez dłuższy moment szedł prosto, po czym zgodnie ze wskazówkami skręcił w prawo i kucając, przecisnął się przez niskie przejście, aż zatrzymał się nad krawędzią zbiornika burzowego. Poniżej wielka studnia zdawała się nie mieć dna. Kucając, poczłapał w prawo po wąskiej balustradzie przez kilkanaście metrów, aż dotarł pod drzwi z przegniłego drewna. Usłyszał przytłumioną rozmowę. Ktoś zachęcał, by użyć siły.

Oks przybliżył się i zobaczył znak koniczyny na drzwiach. To musiało być to miejsce. Niewiele myśląc zniszczył ramieniem wątłe drewno i wparował do środka. Nim zorientował się, że to pułapka pędził obślizglą rurą w dół w całkowitej ciemności, aż z wielkim impetem wyskoczył z rury, zawisł przez chwilę w powietrzu, i spadł do wody o zdecydowanie nie apetycznym kolorze.

Gdy wypłynął na powierzchnię i złapał się krawędzi, poczuł na ustach smak, którego nie chciał nigdy próbować.

— Oks!

Rozejrzał się. Wszystkie wyjścia blokowały kraty.

— Tutaj!

Odwrócił się i zobaczył, że kilka metrów obok przy kracie stoi Gema.

Podpłynął do niej i złapał się kraty.

— Za każdym razem wyglądasz jeszcze gorzej — stwierdziła Gem. — Nic ci nie jest?

Oks złapał oddech, zdjął z szyi wisiołek i rzucił go przez kratę.

— Chciałem ci oddać.

Gema uniosła kawałek metalu, przypominający połówkę czterolistnej koniczyny.

— Dziękuję. Możesz to zatrzymać. Tylko dlatego, od pół roku robisz zamieszanie na mój temat?

— Zostawcie Wszechimperatora w spokoju. Zginiecie niepotrzebnie.

— Ty, jednak o tym.

— To taki idiota, że w końcu sam się zabije, a ty będziesz ich widzieć do końca życia.

Gema kucnęła i przez kratę założyła mu naszyjnik z powrotem na szyję.

— Zatrzymaj go. Pół szczęścia jest lepsze niż nic.

— Nie rozumiesz. — Oks uderzył pięścią w kratę. — Nie chcę, byś skończyła jak ja!

— Czyli, jak?

Oks zawahał się.

— Gdy zabijasz niewinnych ludzi, oni zostają z tobą. Za każdym razem, gdy ścinam kolejnego gadaliana, jest ze mną dusza chłopca, którego kiedyś zabiłem dla popisu. Jest wyrzutem, który zostanie ze mną do końca życia. Z tobą zostanie tysiące dusz.

Gema otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz przerwał im gwizd. Wstała i odeszła na kilka kroków. Zatrzymała się po chwili.

— Burza nadchodzi — rzekła pośpiesznie. Coś zazgrzytało obok.

— Gema!

— Uciekaj już Oks! Masz otwartą kratę. Nasz los w naszych rękach!

Zniknęła.

Gdy Oks wrócił do domu, nie mógł znaleźć klucza. Obwinił o to smród, który na pewno stępił mu mózg. Okrążył willę, zostawiając za sobą połacie wygniecionej trawy, niczym wielki dzik. Zdziwił się, gdy zobaczył, że jeden z jego słoneczników chce wręczyć mu zaproszenie — po całym ogrodzie wiatr rozrzucił jego dokumenty.

Skierował się na taras. Po kilku niepewnych krokach zatrzymał się, jednak i zawrócił. Wyszarpał zaproszenie ze słonecznika. Tytuł brzmiał: "Zapraszamy na Spotkanie Losu".

Przeczytał zaproszenie w drodze na taras i oparty o balustradę drążył w pamięci.

— Weźmie Los w swoje ręce — stwierdził i wpatrzył się w zaproszenie.

Jak, co sto lat, Wszechimperator losował z kuli Losu, narody otrzymujące Łaskę lub Zagładę. Gadalianie dźwigali Zagładę już trzysta lat. Jak głosili, ich kula jest cięższa, niż pozostałe, i dlatego zawsze trafiają na Zagładę.

Już wiedział, gdzie będzie Gema dzisiejszej nocy. Czas iść na bal.

Krew

Od kilku godzin, walcząc ze skurczem żołądka, Oks nie mógł dojrzeć nic podejrzanego. Ceremonia umieszczenia Kuli Losu na szczycie Wieży Przeznaczenia dobiegała końca. Tłum zamaskowanych ludzi balował w ekstazie szczęścia. Jeśli nie zakończy zamachu odpowiednio wcześniej, znów poleje się krew.

Stał na tarasie obserwując szeroki plac zamknięty dookoła wysokim murem, na którego szczycie rosły płonące drzewa. Wieża Przeznaczenia stała pośrodku placu. Jeżeli ktokolwiek planował zniszczyć lub porwać kulę, stracił taką możliwość. Do wieży można było się teraz dostać jedynie wspinając się z zewnątrz, aż na sam szczyt. Po chwili zorientował się, że ktoś planuje właśnie to zrobić.

Z drugiej strony placu, od strony Pałacu Wszechimperatora, nieco pod kątem, zawisała lina, a kilku strażników na murach popijało od kelnerek coś z butelek. Po chwili padli na ziemię. Drobną postać zjechała po linie w kierunku wieży i wtopiła się w tłum.

Oks drgnął i ruszył w prawo, w kierunku schodów na mur. Zatrzymał się, jednak, gdy jego atak paniki wzmógł się jeszcze bardziej i ledwo mógł utrzymać laskę w rękach.

Od zawsze mocno bał się ognia, a teraz musiał wejść w las płonących drzew; mur był na tyle szeroki, że mieścił nawet trzy drzewa obok siebie. Krok za krokiem zbliżył się do wejścia na mur, a gdy poczuł pierwsze ciepłe powietrze niegroźnych płomieni, jego twarz oblała się potem.

Na murze, po lewej stronie placu, pojawiły się nowe oddziały, za sobą też usłyszał ciężkie kroki. Ruszył. Pchany szaleństwem czy miłością, mógł ich jeszcze uratować.

Gdy dotarł do kelnerek pilnujących, by strażnicy wyglądali na odpowiednio pijanych, wyglądały na zaskoczone.

— Za mną albo szafot! — rzekł krótko.

Zbliżające się oddziały szybko je zmotywowały do podjęcia dobrej decyzji. Klucząc między drzewami dotarli do pomnika rzeźnika, jednego z wielu rozrzuconych na murze. Odnalazł w nim tajne przejście i wyprowadził na Plac Kary obok swojego warsztatu.

— A Rost, Frank i reszta? — zapytała kelnerka.

— Teraz mogę im zapewnić, tylko szybką śmierć — odrzekł, wskazując na małe drzwi, gdy weszli do jego warsztatu. — Wyście na miasto. Uciekać!

Kilka minut później wpadł niczym burza do Sali Okrucieństw. Łatwo rozpoznał gadalian szykowanych do rozprucia gorącym żelazem.

— Żeby w taką noc, wszechimperator kazał wracać do roboty!

Zebrani strażnicy i Męczyciel spojrzeli na niego zdziwieni.

— Dawać mi ich na plac! Wszechłaskawy okazał draniom łaskę i kazał ich ściąć — Oks podszedł do stołu. Nikt się nie ruszył. — Czyżby według was Wszechimperator się mylił?

Po chwili główny strażnik kiwnął na pozostałych i przeniesiono więźniów na Plac Kary. Oks wziął się do roboty. Każdego z Gadalian ułożył odpowiednio, przy czym za każdym razem skrycie kłuł ich trucizną. Gdy ciął już nie czuli nic. Kilka minut później na koszt pod jego podestem spadła ostatnia z sześciu głów.

Oks kiwnął strażnikowi i skierował się do swojego warsztatu.

— Zaczekaj, zaraz będzie ostatnia! — krzyknął za nim żołnierz.

Kat zamarł.

— Jeśli chcesz wracać pić, to zawołam Irego. Ta świnią nawet jak się zatacza, tnie całkiem dobrze — rzekł żołnierz.

Oks odwrócił się i machnął toporem w powietrzu.

— Byle szybko.

Gdy ją zobaczył, wiedział już wszystko. Nie chciał jej oddać tylko naszyjnika, chciał jej oddać siebie. Gema leżała bezwładnie na rikszy ciągniętej przez jednego ze sług. Coś w Oksie pękło. Nie mógł tego zrozumieć.

Riksza pojawiła się przed nim. Nie pozwolił nikomu podnieść Gemy. Sam, uważając dokładnie na otwarte złamania kości nóg, podniósł ją delikatnie i ułożył na podeście.

— Weź — szepnęła.

Nachylił się, bo nie rozumiał, lecz ona wskazała wzrokiem na swój dekollet. Wyciągnął z niego niewielką, ciężką kulę. Prześwitywała na tyle, by zobaczyć w środku zielony diament z wyrzeźbionym kształtem czterolistnej koniczyny.

— Dla nich ten los? Dla narodu, którego już prawie nie ma?

— Naród to właśnie to. Jednostki ginące za nieznanymi — odpowiedziała cicho.

Oks obrócił bransoletkę, by wbić truciznę w jej szyję. Pusto. Wykorzystał już wszystkie.

— Rób swoje — uspokoiła go.

Obok niej pojawił się chłopiec, którego Oks od lat widział w momencie zabijania. Chłopiec, którego zabił w bolesny sposób. Nienawidził się za to.

Zamachnął się toporem.